

JADWIGA KIWERSKA  
Poznań

## RELACJE USA ZE ZJEDNOCZONYMI NIEMCAMI

Minione dwudziestolecie w stosunkach amerykańsko-niemieckich obfitowało w wydarzenia ważne, niekiedy przełomowe, a nawet dramatyczne. Wpłynęły one na nowy obraz relacji na linii Bonn/Berlin-Waszyngton, jaki wyłonił się na początku XXI w. Sytuacja jest tym bardziej godna odnotowania, że przez kilka poprzednich dziesięcioleci mieliśmy do czynienia z istnieniem wyjątkowych stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Niemcami. Wynikało to z faktu, że Republika Federalna Niemiec od momentu powstania w 1949 r. wiele zawdzięczała wsparciu i poręczeniu Waszyngtonu, począwszy od pomocy w procesie demokratyzacji i odbudowy gospodarczej kraju, pokonanego i podzielonego po II wojnie światowej, aż po gwarancję bezpieczeństwa oferowaną przez cały okres zimnowojennej rywalizacji. Relacje amerykańsko-niemieckie stanowiły ważny element zaangażowania Ameryki w Europie przez ostatnie ponad 60 lat, a bazy w RFN były głównym terenem stacjonowania amerykańskich wojsk na kontynencie europejskim.

Rzecz jasna, nie uniknięto spięć na linii Waszyngton – Bonn, zwłaszcza gdy w grę wchodziły próby manifestowania i realizowania niemieckich interesów, jak w przypadku *Ostpolitik* lat siedemdziesiątych, dystansowania się rządu Helmuta Schmidta wobec niektórych zamierzeń administracji amerykańskiej lub ruchów pacyfistycznych i antyamerykańskich, ogarniających Niemcy Zachodnie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Trzeba też wyraźnie podkreślić, że te wyjątkowe relacje amerykańsko-niemieckie bazowały na założonym z góry ograniczeniu suwerenności republiki bońskiej i przekonaniu o konieczności utrzymania pełnej lojalności Bonn wobec Waszyngtonu. Z drugiej strony kolejne administracje amerykańskie, choć z różnym natężeniem to jednak ceniły sobie niemieckiego sojusznika.

Nie dziwi więc fakt, że to przede wszystkim Stany Zjednoczone w większym stopniu niż Wielka Brytania, a już tym bardziej Francja, były głównym sojusznikiem kanclerza Helmuta Kohla w jego działaniach na rzecz zjednoczenia Niemiec. Ale trzeba także przyznać, że upadek muru berlińskiego 9 listopada 1989 r. i następujące po sobie lawinowo wydarzenia zaskoczyły większość amerykańskich polityków i ekspertów. Okazało się, że Amerykanie, podobnie zresztą jak Europejczycy nie byli przygotowani na tak wielkie przyspieszenie procesu zjednoczeniowego. Waszyngton znalazł się

zresztą w dość kłopotliwej sytuacji. Ponieważ od czterdziestu blisko lat przynajmniej werbalnie i taktycznie popierał ideę zjednoczenia Niemiec, nie mógł teraz stwarzać wrażenia, że pragnie zahamować proces odbudowy jednej państwowości niemieckiej.

Jednak powodów do niepokoju Waszyngton miał wiele. Główny problem polegał na tym, że zjednoczone Niemcy mogły stać się na kontynencie europejskim hegemonem. RFN posiadała gospodarkę najsilniejszą w Europie, zaś Niemcy Wschodnie – mimo że działały w warunkach gospodarki centralnie sterowanej – to w perspektywie mogły wzmocnić ogólny potencjał nowych Niemiec. Czy takie Niemcy nie stanowiłyby zagrożenia? Czy godziłyby się na powojenne granice? Czy nie miałyby aspiracji nuklearnych? Jak się określić po zjednoczeniu, z kim związać się sojuszem? Jaki wyraz postanowią dać swej sile? Oto pytania leżące u podstaw niepokoju administracji George'a H. W. Busha na jesieni 1989 r.

Było też rzeczą mało prawdopodobną, aby prezydent Bush senior nie docenił okazji, jakiej nie miał nikt od czasów powojennych. Rzadko zdarzało się, aby tyle elementów na arenie międzynarodowej przybrało postać tak płynną jak właśnie jesienią 1989 r. Udział w procesie jednoczenia Niemiec, a przynajmniej uznanie za decydujący argument, że byłoby błędem stanąć w poprzek narodowych dążeń Niemców, stanowiło zatem szansę kształtowania nowego porządku w Europie.

Wprawdzie upadek muru berlińskiego, mimo że stał się tematem nr 1 w amerykańskich mediach, to jednak nie wywołał zdecydowanej reakcji Białego Domu. Bush podczas spotkania z dziennikarzami zachował dużą wstrzeźliwość w ocenie wydarzeń w Niemczech. Jednak gdy 28 listopada 1989 r. kanclerz Kohl ogłosił 10-punktowy plan zjednoczeniowy, Amerykanie stwierdzili, że cały proces odbudowy jednej państwowości niemieckiej może okazać się zbyt gwałtowny i groźny dla sytuacji w Europie. Dlatego administracja Busha zdecydowała się aktywnie oddziaływać na jego przebieg.

Już 4 grudnia 1989 r., podczas posiedzenia Rady NATO prezydent Bush przedstawił warunki, wyznaczające proces jednoczenia Niemiec. Powtórzył je kanclerzowi Kohlowi w lutym 1990 r., gdy ten składał wizytę w Stanach Zjednoczonych. Ich istota polegała na tym, że miały godzić narodowe interesy Niemców z uwarunkowanymi historycznie obawami innych państw europejskich, a także Stanów Zjednoczonych. Dlatego Amerykanie uważali, że zasada samostanowienia musi zostać bezwarunkowo utrzymana niezależnie od ewentualnych rezultatów politycznych; ponowne zjednoczenie Niemiec musi nastąpić w ramach NATO i Wspólnoty Europejskiej oraz przy uwzględnieniu praw i odpowiedzialności czterech mocarstw; Niemcy muszą jednoznacznie i ostatecznie poprzeć postanowienia KBWE w sprawie granic<sup>1</sup>.

Departament Stanu określił też charakter uczestnictwa USA w procesie zjednoczeniowym. Uważano, że dyskusja na temat zewnętrznych aspektów tego procesu powinna się odbywać przy udziale dwóch państw niemieckich oraz czterech mocarstw. Sugerowana formuła (wkrótce nazwana „2+4”) miała na celu uporządkowanie procesu

<sup>1</sup> K. Kaiser, *Deutschlands Vereinigung. Die internationale Aspekte. Mit den wichtigen Dokumenten*. Bergisch Gladbach 1991, s. 178.

zjednoczeniowego, a także poddanie go kontroli międzynarodowej. Do swej koncepcji Amerykanom udało się przekonać zarówno oba państwa niemieckie, jak i pozostałe kraje z grupy wielkiej czwórki. Co więcej, Waszyngton uznał też racje Polski, która domagała się, aby w fazach rozmów „2+4”, dotyczących kwestii przyszłych granic zjednoczonego państwa niemieckiego uczestniczył także przedstawiciel Warszawy. Zresztą w kwestii nienaruszalności granic w Europie administracja Busha zachowała godną odnotowania konsekwentną postawę. Poparto żądania Polski uzyskania od Niemiec trwałego i ostatecznego potwierdzenia granicy polsko-niemieckiej.

To, co szczególnie absorbowało uwagę strony amerykańskiej, dotyczyło jednak statusu militarnego zjednoczonych Niemiec. O rozstrzygnięcie tego problemu, wiążącego się też nierozzerwalnie ze sprawą stacjonowania obcych wojsk na terytorium Niemiec, rozegrała się największa batalia, jaka towarzyszyła procesowi odbudowy jednej państwowości niemieckiej. Wiele różnorodnych czynników przemawiało za tym, aby we własnym interesie oraz w interesie bezpieczeństwa europejskiego zjednoczone Niemcy pozostały w *NATO*. Chodziło o to, że Sojusz Atlantycki zapewniał najlepszy mechanizm kontrolowania i hamowania ewentualnych ambicji militarnych państwa niemieckiego. Z kolei siła Sojuszu oparta była również na potencjale niemieckim.

Z amerykańskiego punktu widzenia pozostanie zjednoczonych Niemiec w *NATO* oznaczałoby nie tylko wzmocnienie samego Paktu, ale także dalszą wojskową obecność Amerykanów na kontynencie europejskim. Eksperti w USA zgodnie twierdzili, że nowych Niemiec nie można pozostawić ani samych, ani izolowanych, ani choćby tylko neutralnych. Ameryka nie może też usunąć się z obszaru między Renem a Łabą, czy też wręcz z Europy. Jako paralelę historyczną przywoływano okres po I wojnie światowej, gdy to pozostawiono zdemilitaryzowane Niemcy w środku Europy. W praktyce zostały też zneutralizowane. Mimo to Hitler mniej lub bardziej jawnie je uzbroił i świat pamięta, czym to się skończyło. Z tych względów sprawa utrzymania członkostwa Niemiec w *NATO* stała się elementem dominującym w amerykańskiej dyskusji na temat nie tylko zjednoczenia, ale również przyszłości Europy i jej systemu bezpieczeństwa.

O status militarny Niemiec trzeba też było stoczyć trudną walkę na arenie międzynarodowej. Wprawdzie większość państw europejskich, w tym Polska, zgadzała się co do zasadności utrzymania Niemiec w Sojuszu. Jedynie Francja wahała się początkowo między dwiema opcjami: demilitaryzacją zjednoczonych Niemiec a pozostawieniem ich w *NATO*. Ale na początku 1990 r. Paryż przyznał, że neutralizacja zjednoczonych Niemiec byłaby aktem groźnym dla stabilizacji Europy. Także kanclerz Kohl – choć w jego 10-punktowym planie zjednoczenia nie było mowy o przynależności do sojuszy wojskowo-politycznych – już w grudniu 1989 r. wyraźnie zadeklarował wolę utrzymania członkostwa w *NATO*.

Większym problemem natomiast było stanowisko Związku Radzieckiego. Trzeba bowiem zaznaczyć, że Michaił Gorbaczow z największym trudem i dopiero na przełomie stycznia i lutego 1990 r. uznał prawo Niemców do decydowania o swym losie oraz nieuchronność procesu zjednoczenia. Przekroczył w ten sposób granicę możliwych i wyobraźalnych wówczas ustępstw. Poza tą granicą zdawała się być sprawa

utrzymania zjednoczonych Niemiec w *NATO*. Moskwa nie bez podstaw obawiała się dalszego osłabienia - po rozszerzeniu granic Sojuszu - swej roli i pozycji na kontynencie europejskim. Dlatego politycy radzieccy formułowali własne koncepcje rozwiązania kwestii statusu wojskowego zintegrowanych Niemiec, w których dominowała idea neutralizacji Niemiec lub zgoda fantastyczny pomysł ich przynależności zarówno do *NATO*, jak i Układu Warszawskiego.

Łamanie oporu Moskwy następowało stopniowo i w procesie tym niebagatelną rolę odegrały właśnie Stany Zjednoczone, proponując np. przesunięcie akcentów w Pakcie Północnoatlantyckim, tak by stał się on instytucją bardziej polityczną, a mniej wojskową. Deklarowano także wycofanie większości sił lądowych USA z Niemiec w zamian za zdecydowaną redukcję radzieckich wojsk oraz narzucenie Niemcom określonych ograniczeń wojskowych. I jakkolwiek decydujące znaczenie miała deklaracja Bonn o finansowym wsparciu Związku Radzieckiego w wysokości 5 mld marek, to jednak roli Waszyngtonu w utrzymaniu członkostwa zjednoczonych Niemiec w Sojuszu trudno nie docenić.

Trzeba też z całą mocą podkreślić, że choć w procesie odbudowy jednej państwowości niemieckiej decydująca była wola i determinacja kanclerza Kohla, który nie tylko narzucił tempo, ale też określił kierunek i formułę zjednoczenia, to administracja Busha zadbała o to, aby przebieg tego procesu nie zakłócił sytuacji w Europie, nie niósł zagrożeń dla bliższych i dalszych sąsiadów nowych Niemiec, *last but not least* – nie podważył pozycji i roli Stanów Zjednoczonych na kontynencie.

Formuła zjednoczenia, w której nowe Niemcy przejęły sojusznicze powiązania dawnej Republiki Federalnej Niemiec, a u władzy pozostały elity ukształtowane w warunkach zachodnioniemieckich, przywiązane do wartości świata Zachodu, wydawała się gwarantować rozsądną politykę zagraniczną. Byłaby to kontynuacja Adenauerowskiej strategii utrzymywania ścisłych powiązań z demokracjami zachodnimi, w tym przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi. Równocześnie jednak trudno było nie dostrzec nowych elementów, wpływających na politykę zagraniczną zjednoczonych Niemiec, które wreszcie stały się suwerenne i „normalne”, czyli pozbawione kurateli państw trzecich. Mogły teraz prowadzić, tak jak inne kraje demokratyczne, „normalną” działalność zagraniczną. Należało się zatem spodziewać zwiększonej aktywności Niemiec na arenie międzynarodowej, śmielszego artykułowania w strategii zewnętrznej własnych interesów i potrzeb, dążenia do partykularnych celów. Czy będzie to miało wpływ na relacje amerykańsko-niemieckie? Pytanie to wydawało się na początku lat dziewięćdziesiątych całkowicie zasadne.

Początkowo można było odnieść wrażenie, że mamy do czynienia głównie z kontynuacją dyplomacji zachodnioniemieckiej, szczególnie w odniesieniu do amerykańskiego sojusznika. Pozostająca przy władzy w nowych Niemczech koalicja *CDU/CSU-FDP* uważała bliskie stosunki z USA za „kotwicę niemieckiej polityki zagranicznej”<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Zob. wystąpienie Kohla 6 II 1993, w: „Bulletin des Presse- und Informationsamtes der Bundesregierung” (dalej: „Bulletin”) 10 II 1993, s. 103.

Argumentację na rzecz utrzymania tak zażyłych stosunków z Ameryką przedstawił szef niemieckiej dyplomacji Klaus Kinkel podczas pobytu w Waszyngtonie: „Wzajemnie się potrzebujemy, podobnie jak w przeszłości. Mamy nie tylko wspólne interesy, nasze wspólne interesy i powiązania przeważają nad różnicami. Niemcy i USA budują rdzeń *NATO*. Podobnie jak razem z Francją stanowimy motor zjednoczenia Europy, tak chcemy być wraz z USA motorem do osiągnięcia celów euroatlantyckich”. W innym wystąpieniu niemiecki minister spraw zagranicznych opowiadał się za „atlantycką Europą, która pozostaje świadoma swoich historycznych powiązań ze Stanami Zjednoczonymi”<sup>3</sup>.

Poza frazeologiczną otoczką, charakterystyczną dla kurtuazyjnych gestów polityków, krył się głębszy sens niemieckiego rozumienia relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Z jednej strony Bonn popierało plan obecności 150 tys. żołnierzy amerykańskich w Niemczech, nie unikano też dyskusji na temat politycznych przyczyn utrzymania Amerykanów w Europie. Z drugiej zaś, po 1989 r. politycy i komentatorzy niemieccy inaczej widzieli rolę USA w Europie. Raczej opowiadali się za funkcją wspierającą, a nie dominacją, jak było przez ostatnie cztery dziesięciolecia. Przychylali się też skwapliwie do opinii głośno wyrażanej za oceanem, że Stany Zjednoczone nie chcą, ani też nie są w stanie być niczym Atlas, dźwigający na swych barkach cały świat, że nie mogą ponosić głównego ciężaru finansowej i wojskowej odpowiedzialności w ramach *NATO*. Wobec wielu różnych wyzwań i problemów zarówno przywództwo, jak i ciężary muszą być dzielone. Jasno rysowała się zatem perspektywa, że wraz z postępowaniem procesu integracyjnego w Europie, zwłaszcza w zakresie tworzenia wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, państwa europejskie będą musiały w większym stopniu liczyć na własne siły.

A zatem już na początku lat dziewięćdziesiątych w myśleniu niemieckich polityków wybijało się pragnienie wzmocnienia roli Europy Zachodniej w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi i w ramach *NATO*, a przy okazji podniesienie pozycji Niemiec w partnerstwie transatlantyckim przynajmniej o kilka szczebli wyżej. Choćby dla umocnienia zasady, że dobrze funkcjonujące stosunki amerykańsko-niemieckie są ważnym elementem Sojuszu Atlantyckiego.

Takie myślenie odpowiadało koncepcjom już wcześniej formułowanym w Waszyngtonie. Politycy amerykańscy wyraźnie opowiadali się za partnerstwem z Niemcami na arenie międzynarodowej: począwszy od działań na rzecz stabilizacji w Europie Środkowo-Wschodniej, jej transformacji politycznej i gospodarczej, poprzez stosunki z Rosją, po udział w akcjach zbrojnych na świecie. Co więcej, starali się też przekonać innych Europejczyków do zaakceptowania aktywniejszej roli zjednoczonych Niemiec na kontynencie. Jeszcze w maju 1989 r., w przededniu przemian na kontynencie europejskim prezydent Bush senior nawet zaproponował Niemcom „partnerstwo w przywództwie” (*partnership in leadership*)<sup>4</sup>. Wkrótce określenie to zagościło w relacjach

<sup>3</sup> „Bulletin” 3 III 1993, s. 143.

<sup>4</sup> Stało się to dokładnie 31 maja 1989 r., podczas pobytu Busha w RFN. Zob. K. L. Pruitt, *Die amerikanische Deutschlandpolitik in der Bush-Ära. Wandel einer historischen Partnerschaft*, München 1995, s. 68.

amerykańsko-niemieckich. Amerykanom chodziło o to, aby Niemcy zdecydowały się odgrywać aktywniejszą rolę na arenie międzynarodowej, odpowiadającą ich nowej pozycji i randze. Jakkolwiek nie brakowało zrozumienia dla wewnętrznych obciążeń związanych z procesem „wchłaniania” byłej NRD oraz wynikających z historycznych oraz prawno-politycznych uwarunkowań i ograniczeń niemieckiej polityki zagranicznej, to jednak podkreślano konieczność zaznaczenia przez Niemcy w bardziej wyrazisty sposób ich nowej pozycji w świecie.

Także prezydent William J. Clinton był zainteresowany włączeniem zjednoczonych Niemiec do współodpowiedzialności za porządek międzynarodowy. Takie przesłanie towarzyszyło amerykańskiemu prezydentowi podczas wizyty nad Renem w lipcu 1994 r. Wystosował wówczas apel o bardziej aktywną rolę Niemiec w sprawach światowych. Mówił też wiele o nowych, „specjalnych stosunkach” między Republiką Federalną a USA, co nawet stawiało pod znakiem zapytania tradycyjne *special relations* z Wielką Brytanią. Temu przekonaniu, że Niemcy będą teraz odgrywać bardziej wyrazistą i aktywną rolę na arenie międzynarodowej, nie towarzyszył jeszcze wówczas niepokój o to, czy w tej nowej sytuacji pozostaną one lojalnym i w pełni oddanym sojusznikiem Amerykanów. Zapewniał zresztą o tym Kohl mówiąc w obecności amerykańskiego prezydenta: „My Niemcy wiemy, że nasze bezpieczeństwo i możliwości naszej polityki zagranicznej zależą od tego, czy będziemy niezawodnymi partnerami i czy nasi sojusznicy będą mieli do nas zaufanie”<sup>5</sup>.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że czasy, w których Stany Zjednoczone jako mandatariusz po prostu wykladały swoje stanowisko, a Niemcy je akceptowały, przeminęły. W nowych warunkach lojalność RFN wobec Ameryki nie musiała oznaczać bezwzględnego posłuszeństwa. I tak, gdy w styczniu 1998 r. administracja Clintona zabiegała o poparcie sojuszników dla ewentualnej interwencji militarnej w Iraku, tylko Wielka Brytania zadeklarowała polityczną i wojskową pomoc dla Waszyngtonu. Niemcy ograniczyły się do poparcia moralnego, ale nie zamierzały wspierać ani finansowo, jak to było w przypadku pierwszej wojny w Zatoce Perskiej na przełomie 1990 i 1991 r., ani tym bardziej militarnie działań amerykańskich. Zresztą Niemcy znajdowały się w przededniu wyborów parlamentarnych i rządząca w Bonn koalicja – mając świadomość nastawienia opinii publicznej, w większości niechętej takiemu zaangażowaniu po stronie USA – nie odważyła się postąpić inaczej.

Mimo tego we wrześniu 1998 r. w wyborach do *Bundestagu* zwycięstwo odniosły opozycyjne partie *SPD* i Zieloni. Objęcie władzy przez nową koalicję początkowo nie skutkowało jakimś dramatycznym zwrotem w niemieckiej polityce wobec Stanów Zjednoczonych. I to pomimo tego, że socjaldemokratów pod wodzą kanclerza Gerharda Schrödera charakteryzował większy niż ekipę Kohla dystans wobec Waszyngtonu, *NATO* i militarnego zaangażowania *Bundeswehry*. Zaś nowy szef dyplomacji Joschka Fischer z partii Zielonych swą aktywność polityczną rozpoczął

<sup>5</sup> Cyt. w: „The Wall Street Journal” z 13 VII 1994.

w latach sześćdziesiątych jako uczestnik rewolty młodzieżowej, prowadzonej między innymi pod antyamerykańskimi hasłami. Ale to właśnie koalicja czerwono-zielona nie tylko poparła zainicjowaną przez Stany Zjednoczone interwencję zbrojną *NATO* w Jugosławii na wiosnę 1999 r., ale także zdecydowała o udziale żołnierzy niemieckich w tych bezprecedensowych działaniach zbrojnych. Jeśli Schröder i Fischer zdecydowali się niemalże przekroczyć polityczny Rubikon, odrzucając radykalny pacyfizm i antyamerykanizm, choć oznaczało to narażenie się swoim wyborcom, a nawet członkom własnych partii, to przyszłość relacji amerykańsko-niemieckich wydawała się bezpieczna.

Jednak jeszcze za prezydentury Clintona strona niemiecka weszła z Waszyngtonem w spór o charakterze strategicznym. Wywołał go amerykański projekt budowy systemu obrony przeciwrakietowej, potocznie zwany tarczą antyrakietową. Plany amerykańskie wzbudziły zaniepokojenie i nieufność w Berlinie przede wszystkim dlatego, że prezydent USA nie podjął z Europą zasadniczej dyskusji o wykonalności i kosztach takiego systemu, o stratach i zyskach w sferze obronności oraz o politycznych i strategicznych skutkach jego rozmieszczenia. Jedynie informował, że bez względu na protesty Stany Zjednoczone będą nad tym systemem pracowały.

Takie postawienie sprawy odebrano w Republice Federalnej jako wyraz amerykańskiej arogancji i braku szacunku wobec sojuszników. Niemców niepokoiło głównie to, że realizacja amerykańskiego projektu spowoduje nowy wyścig zbrojeń oraz będzie zagrażała stosunkom z Moskwą, osłabiając równocześnie pozycję Rosji w wymiarze globalnym. Czy warto – pytał na początku lutego 2001 r. szef niemieckiej dyplomacji – narażać stosunki z Rosją w obawie przed rakietami, których prawdopodobnie żadne z „państw bandyckich” jeszcze nie posiada?<sup>6</sup> Z kolei kanclerz Schröder dodawał, że w *NATO* konieczna jest debata o tym, jakie skutki może mieć zrealizowanie tego projektu dla stosunków z Rosją. Domagał się też dialogu Europy i Ameryki z Rosją na temat bezpieczeństwa europejskiego<sup>7</sup>.

Kontrowersyjną kwestię tarczy antyrakietowej odziedziczył po swoim poprzedniku nowy prezydent Stanów Zjednoczonych. Objęcie urzędu prezydenckiego przez George'a W. Busha juniora w styczniu 2001 r. zostało bez entuzjazmu przyjęte w Berlinie, podobnie zresztą jak w większości stolic Europy. Jako konserwatysta nowy prezydent nie wzbudzał zachwyty europejskiej opinii publicznej, a także niektórych przywódców politycznych, w tym Niemiec. Podczas gdy z Clintonem, uchodzącym za liberała w amerykańskim rozumieniu tego słowa, politycy „czerwono-zielonej” koalicji mogli jeszcze znaleźć wspólny język, a multilateralne podejście demokratycznej administracji do wielu zagadnień międzynarodowych odpowiadało Schröderowi i Fischerowi, to z Bushem sytuacja była daleko trudniejsza. Nie tylko zabrakło emocjonalnej więzi, ale pojawiła się zasadnicza dysharmonia w zakresie wartości, celów, metod i priorytetów.

<sup>6</sup> Munich Conference on European Security Policy, <http://www.defenselink.mil>.

<sup>7</sup> Europa und die NATO, <http://www.zet.de/reden/200107>.

W tej sytuacji reakcja kanclerza Niemiec na atak 11 września 2001 r., gdy to Schröder niemal natychmiast zadeklarował *uneingeschränkte Solidarität* z Ameryką, mogła nawet dziwić. Był to jednak odruch niemalże naturalny, wpisujący się w powszechny nurt współczucia i poparcia, jakie świat okazał Amerykanom po ataku terrorystycznym na ich kraj. Następnie kanclerz zgłosił gotowość Niemiec do udziału w akcji militarnej, której legitymizację stanowiło bezprecedensowe w dziejach NATO wprowadzenie w życie art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego (a także mandat ONZ). Schröder był gotowy zaryzykować upadek swego rządu, aby przeforsować w *Bundestagu* udział niemieckich żołnierzy w planowanej przez Amerykanów akcji militarnej w Afganistanie. Jednocześnie wyrażając wolę uczestnictwa w działaniach zbrojnych przeciwko talibom, nawet za cenę pójsia „pod prąd” społecznym nastrojom w Niemczech, rząd SPD-Zieloni kierował się nie tylko zobowiązaniami sojusznicznymi i lojalnością wobec USA, ale także odpowiedzialnością za bezpieczeństwo i sytuację międzynarodową oraz poczuciem politycznej rangi państwa niemieckiego, które jest zobowiązane do działania nie tyle przez lojalność dla USA, ale ze względu na swoją obecną pozycję i rolę.

Nowy rozdział w stosunkach amerykańsko-niemieckich rozpoczął się wraz z ogłoszeniem „doktryny Busha” w 2002 r. Zakładała ona możliwość prowadzenia wojny prewencyjnej, działań unilateralnych oraz wykorzystania siły militarnej jako ważnej opcji w polityce<sup>8</sup>. Berlin ostro krytykował zarówno taktykę amerykańską, jak i rozszerzenie zasięgu operacji antyterrorystycznej na Irak. Tak jak w czasach Kohla mówiono, że stosunki z Ameryką to filar niemieckiej polityki zagranicznej, tak teraz konkludowano: „Niemcy nie mogą zaakceptować sytuacji, gdy jeden kraj dyktuje, którądy droga, a inni muszą potakiwać”. Choć RFN solidaryzowała się z Waszyngtonem w walce z terroryzmem (pozostaje pytanie, ile było w tym czystej retoryki, a ile przekonania o rzeczywistym zagrożeniu terroryzmem – wszak dla Niemców 11 września 2001 r. nie był wstrząsem na miarę doświadczenia Ameryki), to jednak miała dobrze uzasadnione pretensje do amerykańskiego sojusznika – o unilateralizm, brak konsultacji, wyznaczanie fałszywych celów walki, stawianie na siłę militarną zamiast dyplomacji i negocjacji.

Tak więc występującemu już od dawna antyamerykanizmowi niemieckiej opinii publicznej towarzyszyła teraz narastająca krytyka niemieckiego rządu pod adresem USA. Kanclerz Schröder zdecydował się nawet zdyskontować w kampanii wyborczej do *Bundestagu* w 2002 r. niechęć większości Niemców do wojny z Irakiem, do prezydenta Busha i polityki amerykańskiej. Zagrał więc nie tylko na zastarzałych antyamerykańskich emocjach wyborców lewicowych, pacyfistów i nacjonalistów, ale też ogarniającej nowe grupy społeczne fali antyamerykanizmu. W takiej atmosferze doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego Condoleezza Rice nazwała stosunki między Waszyngtonem a Berlinem *poisoned relations*<sup>9</sup>. Niewątpliwie był to jeden z najgorszych okresów w stosunkach USA-RFN.

<sup>8</sup> O „doktrynie Busha” zob. I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution: The Remaking of American Foreign Policy*, The Brookings Institution, May 2003.

<sup>9</sup> Cyt. za R. Wolffe, H. Simonian, H. Williamson, *U.S. Condemns „Poisoned” Relations with Berlin*, „Financial Times” z 21 IX 2002.



Relacje te zostały poddane dalszym turbulencjom w momencie, gdy Berlin znalazł się na przełomie 2002 i 2003 r., obok Paryża i Moskwy, wśród architektów tzw. frontu odmowy, ostro sprzeciwiającego się amerykańskim planom wobec Iraku. Niemcy przyczyniły się też w lutym 2003 r. do największego w dziejach *NATO* kryzysu decyzyjnego, gdy to wraz z Francją i Belgią nie chciały przystać na prośbę Waszyngtonu i zgodzić się na zastosowanie art. 4 Traktatu Waszyngtońskiego wobec Turcji. Następnie w marcu 2003 r. Republika Federalna Niemiec współuczestniczyła w skutecznym blokowaniu amerykańskiej rezolucji w sprawie Iraku na forum Rady Bezpieczeństwa NZ.

Trudno pominąć współodpowiedzialność Ameryki za narastający rozłam i to nie tylko między Waszyngtonem a Berlinem, ale też innymi stolicami europejskimi. Wszak realizowana przez administrację Busha strategia neokonserwatystów, łącząca – obok idealizmu i wizjonerstwa – szkodliwe elementy unilateralizmu, hegemonii i dominacji siły, spotkała się z krytyką w świecie. Wprowadzała ona bowiem zamęt do obowiązujących dotychczas zasad działania międzynarodowego i kreowała z Ameryki symbol arogancji, pychy, a nawet zagrożenia. Naturalny opór wywoływała sytuacja, gdy to administracja Busha narzucała sojusznikom cel i metody działania w myśl logiki: to my decydujemy, kto jest zagrożeniem dla świata. W warunkach pozimnowojennych wydawało się to zasadą zaiste imperialną, dążeniem do dominacji w świecie, realizowaniem własnych interesów politycznych i ekonomicznych, bez względu na stanowisko innych<sup>10</sup>.

Niemcy, podobnie jak większość europejskiej opinii publicznej nie byli też w stanie zrozumieć psychologicznych uwarunkowań strategii i taktyki administracji Busha, która działała w atmosferze traumy po ataku na Amerykę. To właśnie utrata poczucia bezpieczeństwa przez Amerykanów, tak naprawdę po raz pierwszy w ich dziejach, determinowała politykę zagraniczną, której wyrazem była „doktryna Busha”. Tymczasem Niemcy (Europa) – nie negując zagrożenia terrorystycznego – nie zamierzały zmieniać swoich preferencji w polityce zagranicznej, gdzie priorytetem pozostała integracja europejska, zaś metodami konsultacje i dyplomacja, a nie zbrojna krucjata przeciwko terroryzmowi i wprowadzanie na siłę demokracji w odległych częściach świata. Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że Niemcy okazały się bardziej przewidujące niż administracja Busha, lepiej od neokonserwatystów oceniono sytuację i ewentualne konsekwencje akcji w Iraku.

Antyamerykańska postawa Berlina nie była też tylko sprzeciwem wobec użycia siły i odrzuceniem wojny jako sposobu rozwiązania kryzysu irackiego – czyli wołą odwołania się do zasady *Zivilmacht*, tak popularnej w RFN. Nie chodziło też wyłącznie o to, że odmawiając udziału w ewentualnej akcji zbrojnej przeciwko Bagdadowi, kanclerz Schröder postępował zgodnie z tym, co myślała większość Niemców (przyniosło mu

<sup>10</sup> Zob. J. Kiwerska, *Neokonserwatywna polityka George'a W. Busha. Założenia, realizacja i skutki*, Zeszyty Instytutu Zachodniego, nr 38/2005, s.46-54.

to zresztą zwycięstwo wyborcze we wrześniu 2002 r.). Ta wyjątkowo konfrontacyjna wobec Stanów Zjednoczonych postawa była wyrazem swoistego buntu przeciwko amerykańskiemu przywództwu, odreagowaniem kompleksów i utajonych urazów wobec siły i dominacji Ameryki.

Co zatem spowodowało tę zasadniczą zmianę w polityce Niemiec wobec amerykańskiego sojusznika? Niewątpliwie była to konsekwencja zmiany, jaka dokonała się w myśleniu Niemiec o ich roli w świecie, celach i priorytetach niemieckiej polityki. Pod rządami Schrödera i Fischera, reprezentantów pokolenia wyrosłego w warunkach powojennej demokracji, nastąpiło zdyskontowanie faktu, że Niemcy – kilkanaście lat po zjednoczeniu – są już krajem w pełni suwerennym i „normalnym”, a do tego największym oraz najsilniejszym w Europie. Z jednej strony oznaczało to, że w sytuacjach konfliktowych RFN może i musi współdziałać z innymi mocarstwami, nie powinna też unikać odpowiedzialności. Z drugiej zaś – płynące stąd poczucie siły i rangi rodziło wolę zachowań niezależnych, a nawet konfrontacyjnych. Niemcy zyskały świadomość prawa do działań w pełni suwerennych i niezależnych, zgodnych z ich narodowym interesem i własnym rozumieniem racji.

To załamanie w stosunkach amerykańsko-niemieckich miało swoje konsekwencje i dla Waszyngtonu. Po pierwsze, osłabiało ważny element układu transatlantyckiego – określającego rolę i pozycję USA nie tylko w Europie, ale i w świecie. Świadomość, że prowadząc prawie w osamotnieniu jedną z najważniejszych w swej historii bitwę Stany Zjednoczone nie mogą liczyć na swego – do niedawna – bliskiego i lojalnego partnera, musiała być dla nich frustrująca. Po drugie, nie można też było pozostać obojętnym wobec faktu, że Niemcy odważyły się w tak jednoznaczny sposób zakwestionować amerykańskie przywództwo, czyniąc tym samym groźny dla Stanów Zjednoczonych precedens. To, że dotychczasowy główny oponent Waszyngtonu w Europie – Paryż – zyskał tak znaczącego sojusznika, mogło mieć zgubne skutki dla pozycji amerykańskiej i ich roli nie tylko w Europie, ale i na świecie.

Potrzeba było jednak czasu, skonstatowania skutków, ale przede wszystkim zmiany wzajemnego nastawienia i nowych okoliczności, aby nastąpiła poprawa w stosunkach amerykańsko-niemieckich. Z czasem obniżyła się temperatura polemik politycznych i pojawiły się gesty sugerujące wolę odbudowy relacji. Jednak prawdziwego przełomu nie było. Przeszkadzała temu niechęć między Bushem a Schröderem oraz utrzymująca się różnica zdań co do celów, kierunku i stylu uprawiania polityki zagranicznej. Czyli różnice odnoszące się do spraw zasadniczych.

Sytuacja zmieniła się pod koniec 2005 r., gdy po zwycięskich wyborach parlamentarnych do władzy w Niemczech powróciła wraz z liberałami chadecja, a kanclerzem została jej szefowa Angela Merkel. Jakkolwiek dylematów polityki nie powinno się przesadnie personalizować, to jednak konflikt na linii Waszyngton-Berlin miał też swój osobisty aspekt. Dlatego, dopóki w Berlinie urzędował Schröder, trudno było mówić o pełnej harmonii i zaufaniu we wzajemnych relacjach. Merkel już na starcie posiadała atuty, które pozwoliły przywrócić dobrą atmosferę w stosunkach amerykańsko-

niemieckich. Chodziło o jej proamerykanizm, demonstrowany nawet wówczas, gdy rząd Schrödera przyjął konfrontacyjny wobec USA kurs.

Nowa szefowa niemieckiego rządu – w przeciwieństwie do Schrödera – w dobrych relacjach z amerykańskim supermocarstwem ponownie dostrzegła czynnik umocnienia pozycji Niemiec nie tylko w Europie, ale również w ujęciu globalnym. Antyamerykanizm przestał więc kształtować politykę zagraniczną RFN, i to pomimo dominującego w społeczeństwie niemieckim sceptycyzmu czy wręcz niechęci wobec administracji Busha. Nowa kanclerz przywróciła też polityce niemieckiej paradygmat unikania wyboru między współpracą atlantycką a integracją europejską. Ameryka zaś odeszła od prób osłabiania pozycji Niemiec i rozgrywania państw europejskich. Nastąpiła więc intensyfikacja spotkań, powrócono do rozmów i wspólnego poszukiwania rozwiązań politycznych dla światowych problemów. Berlin uzyskał możliwość wpływania na amerykańską politykę zagraniczną, czego dowodem był mniej niechętny stosunek Busha do kwestii ograniczenia emisji gazów cieplarnianych, zaś Stany Zjednoczone „odzyskały” niemieckiego sojusznika. Z kolei władze w Berlinie dość wstrzemięźliwie wypowiadały się na temat amerykańskich planów instalowania w Polsce i Czechach elementów tarczy antyrakietowej. W efekcie doszło do zdecydowanej poprawy stosunków na linii Waszyngton-Berlin.

Błędem byłoby jednak sądzić, że nastąpił powrót do stanu relacji amerykańsko-niemieckich sprzed kryzysu irackiego, gdy to Niemcy były niezwykle lojalnym i spolegliwym sojusznikiem. Trudno ocenić, w jakim stopniu obie strony przemyślały to, co stało się kilka lat wcześniej i co doprowadziło do „zatrucia stosunków”, wyciągając z tych przykrych doświadczeń konstruktywne wnioski. Jedno nie ulegało wątpliwości, że pomimo dobrej atmosfery we wzajemnych relacjach zyskały one nowy charakter i nowe akcenty, będące skutkiem wydarzeń z niedawnej przeszłości. Mieliliśmy bowiem do czynienia z osłabioną pozycją Ameryki na arenie międzynarodowej, zniekształconym niepowodzeniami w Iraku i Afganistanie wizerunkiem supermocarstwa, skompromitowanego wydarzeniami w Abu Ghraib i Guantanamo. Używając świadomie pewnej przesady można powiedzieć, że USA – poszukując rozpaczliwie silnych sojuszników w Europie – liczyły przede wszystkim na Niemcy.

Stawiało to kanclerz Merkel w wyjątkowo korzystnej wobec USA sytuacji. Silniej niż kiedykolwiek wcześniej Niemcy uświadomiły sobie także swoją mocną rolę na arenie międzynarodowej. Rodziło to potrzebę zachowań dyktowanych własnym interesem, ale też dawało większą odwagę podejmowania zobowiązań międzynarodowych. Aktywność polityczna i militarna RFN w różnych regionach świata (ponad 10 tys. żołnierzy *Bundeswehry* na kilku kontynentach, z tendencją do wzrostu) i w odniesieniu do różnych wyzwań współczesności stało się atutem, który siłą rzeczy zaczął wpływać na relacje niemiecko-amerykańskie. Czynił bowiem z Niemiec poważnego i niezwykle cennego partnera. Ale też partnera bez kompleksów, który jest gotowy nie tylko śmiało przedstawiać swój punkt widzenia, ale też krytykować politykę amerykańską bez obaw o reakcję.

Ważne było przecież i to, że Berlin miał za sobą doświadczenie rozejścia się z Waszyngtonem i świadomość tego, że nie zawsze musi się zgadzać z amerykańskim partnerem oraz w pełni akceptować jego politykę. Kanclerz Merkel wyraźnie krytykowała w kontaktach z Bushem niektóre działania jego administracji, choćby odnosząc się do kontrowersyjnej kwestii przetrzymywania więźniów w Guantanamo lub problemów klimatycznych. Wraz z prezydentem Nicolasem Sarkozym w kwietniu 2008 r., podczas szczytu *NATO* w Bukareszcie, storpedowała plany Busha objęcia Ukrainy i Gruzji programem przygotowawczym do członkostwa w Sojuszu. Zachowanie pewnej niezależności wobec USA było zresztą konieczne w sytuacji, gdy antyamerykanizm był już stałym elementem niemieckiego życia publicznego, a Ameryka czasów Busha wywoływała w Niemczech i świecie znacznie więcej niechęci niż sympatii.

Ale i ten element stracił nieco na znaczeniu, gdy prezydentem Stanów Zjednoczonych został Barack Obama. Niemiecka opinia publiczna niezwykle entuzjastycznie zareagowała na jego wybór w listopadzie 2008 r. Dla nikogo nie było jednak tajemnicą, że relacje między kanclerz Merkel a nowym gospodarzem Białego Domu nie należały do specjalnie bliskich i serdecznych. Od stycznia 2009 r., gdy Obama objął urząd prezydencki, liderzy Niemiec i Stanów Zjednoczonych widzieli się przy różnych okazjach, dwa razy amerykański prezydent odwiedził Niemcy. Obserwatorzy komentowali, że tych dwoje dzielił pewien dystans i powściągliwość, zwłaszcza na tle sympatii łączącej Merkel z Bushem. Można było przypuszczać, że w jakimś stopniu był to efekt pamiętnej sytuacji z lipca 2008 r., gdy to kanclerz Merkel nie zgodziła się na wystąpienie pod Bramą Brandenburską ówczesnego kandydata demokratów na urząd prezydenta. Tłumaczono, że miejsce to jest zarezerwowane na wyjątkowe okazje.

Z drugiej jednak strony RFN dysponowała już tak poważnymi atrybutami, które nowy prezydent Stanów Zjednoczonych nie mógł zignorować i to bez względu na to, że w lipcu 2008 r. spotkał go w Berlinie afront. Wszak stawiał on na współpracę, dialog i zbliżenie. A poza tym wszystkim waga Niemiec jako uczestnika wojskowej misji *NATO* w Afganistanie rosła wraz z pogarszaniem się sytuacji w kraju pod Hindukuszem i oczekiwaniem Waszyngtonu, że jego europejscy sojusznicy zwiększą tam swoje kontyngenty. Nie należy się zatem dziwić sprawie, jaką zyskała wizyta kanclerz Merkel w Waszyngtonie na początku listopada 2009 r. Sam fakt, że jako zaledwie drugi w historii stosunków amerykańsko-niemieckich kanclerz RFN miała zaszczyt wystąpić przed połączonymi izbami Kongresu, był znamienny. Przed nią na Kapitolu przemawiał tylko Konrad Adenauer – ojciec powojennych, demokratycznych Niemiec Zachodnich.

Tym razem kanclerz reprezentowała już silne, w pełni zjednoczone i suwerenne Niemcy, które – w przeciwieństwie do tego, co było w przeszłości – nie stanowią ani zagrożenia, ani trudnego do zdefiniowania wyzwania, raczej są niezbywalnym elementem demokratycznego i pokojowo usposobionego porządku europejskiego. Mogą silniej i skuteczniej niż kiedykolwiek wcześniej w powojennych dziejach współtworzyć obraz obecnego świata. Szefowa niemieckiego rządu zaprezentowała się również jako lider jednoczącej się Europy, świadomej swych celów, odpowiedzialności, zadań

i jako takiej zdolnej wpływać i kształtować sytuację w skali globalnej. Może jeszcze w ograniczonym stopniu, ale z dobrymi perspektywami, w dużym stopniu zależnymi właśnie od ambicji, skuteczności i możliwości Niemiec. I tę okoliczność, że Republika Federalna Niemiec jest silniejsza oraz bardziej wpływowa niż kiedykolwiek, Stany Zjednoczone muszą skonstatować, a następnie uwzględnić w swoich relacjach z Berlinem, który pozostał partnerem ważnym, ale i trudniejszym niż był w przeszłości.

Należy również wziąć pod uwagę fakt, że przy wszystkich zastrzeżeniach administracji Obamy o niekwestionowanym znaczeniu relacji z europejskimi sojusznikami i partnerami, trudno nie dostrzec słabnących więzi transatlantyckich i zwiększania się emocjonalnego dystansu między czarnoskórym prezydentem Ameryki a europejskimi liderami. Rację mają też ci eksperci, którzy przekonują, że dla Stanów Zjednoczonych liderami. Rację mają też ci eksperci, którzy przekonują, że dla Stanów Zjednoczonych ery Obamy partnerem w relacjach może być tylko Europa jako całość, mówiąca jednym głosem, świadczącym o istnieniu jakiejś wspólnej, strategicznej wizji. Ma to swoje dobre strony, gdyż w Białym Domu nie będzie pokus, aby Europę dzielić i dywersyfikować z nią stosunki, ale równocześnie oznacza, że mniej w kalkulacjach Waszyngtonu będą się liczyć stolice poszczególnych państw europejskich, nawet tych silniejszych i bardziej znaczących. Ranga Niemiec w notowaniach amerykańskich będzie więc w dużym stopniu zależna od możliwości i skuteczności Berlina wpływania na decyzje, działania oraz strategię Europy. A także od tego, jak bardzo zainteresowana Starym Światem będzie administracja amerykańska. Nie ma wątpliwości, że dla obrazu stosunków amerykańsko-niemieckich będzie to czynnik kluczowy.

#### ABSTRACT

*American-German relations have undergone palpable metamorphosis in the last twenty years. On the one hand it results from the united Germany's growing importance on the international arena, a conviction that Germany is becoming a "normal" state that articulates its national interests with greater confidence and often independently of American expectations. On the other hand, we have witnessed the emergence of new determinants of America's position and role in the world. The image of the United States – especially during the presidency of G. W. Bush – was markedly impaired, which even led to a "poisoning" of mutual relations between the two countries and eventually changed their character. Germany became a more independent partner, respected in Washington.*